

Antun Šoljan

## *Bombardowanie*

Ulica była pusta i gorąca, jak długi piaszczysty brzeg; powietrze drgało we wszystkich kierunkach, utrzymując się w lustrze ciepła jak w oleistej i spokojniej letniej wodzie. Ulica była bez cienia, rozgrzana jak kociołek, całkowicie nieznośna. Nie było żywego człowieka, ponieważ nikt niepotrzebnie nie wychodzi na ulicę po obiedzie i nie było ani trochę wiatru, ale kurz się podnosił sam, jakby tło parowało od słońca, i nie opadał, lecz jak gęsta, brązowa mgła unosił się nad drogą. Przez to wszystko wyglądało żółto, gęsto, rozgrzane jak na pół stopiona magma w piecu do topienia: jakby się wszystko roztopiło w tę samą substancję, z której złożone jest słońce, i dusząco wypełnił całą atmosferę, która służy do oddychania. Niebo wewnątrz mnie przerażało swoją bliskością; groziło mi, że zwiędnę jak roślina. Jakby opona jakiegoś roweru dotknęła chodnika, zaskwierczała jak na patelni. Ledwo powłóczyłam nogami. Oczy miałam osłepione błyszczącym upałem, w głowie mi się kręciło; byłam na skraju nieprzytomności jeszcze zanim to wszystko się zaczęło. Chodziłam środkiem ulicy, bez cienia, żebym była jak najdalej od białych rozżarzonych ścian, lśniącej erupcji, zamknięta ich nieskończonymi paralelami, i czułam taki ciężar i zmęczenie, że chciałam się położyć pośrodku drogi, rozprostować się na gorącym asfalcie i spiec się jak kawałek gołego, bezsilnego, surowego mięsa.

Ledwo się powstrzymywałam, by się nie złożyć jak wachlarz. Mięśnie trzymały mnie wyprostowaną ostatkiem sił. Topiłam się jak woskowa świeczka. Wrząca przestrzeń była nade mną i przede mną, nie byłam w stanie się odważyć, by się odwrócić i ujrzeć ją za sobą. Byłam otoczona brązową suchą mgłą, wełnianymi chmurami, co się toczyły wokół mnie, pełne gęstej gorącej ciszy. Cisza była tak namacalna, że leżała na moich ramionach jak ciężar, podpalała odzież i gołą skórę i wdierała się we mnie, w płuca i brzuch, wypełniając je ołowiano gęstą pustką.

Myślałam tylko to: chcę być w domu i chcę się położyć w swoim zimnym pokoju, bez ubrań, na prostym, rozciągniętym prześcieradle, i żebym się nie ruszała, nieprzykryta, przez półotwarte powieki patrzeć na spuszczone żaluzje w oknach, przez które przebijają się dwie cienkie promienie słońca. Abyłam leżała tak do miłosiernej nocy. Ale nie był łaski z nieba; nie byłam nawet w stanie przyspieszyć, idąc gorącą ulicą, ponieważ nogi miałam obciążone i osłabioną miałam wolę, i gorąc uderzał mnie w twarz, jak fala gorącego piasku.

Dokładnie dlatego zapamiętałam gorącą pustą przestrzeń ulicy, otoczoną murami domów, tę piaszczystą rzekę, która mi wychodzi na powitanie, i tego jednego jedyne człowieka na samym końcu ulicy, gdzie się paralele już prawie spotykają, człowieka, który nadchodzi w moją stronę, zbyt dalekiego, by określić jego wiek, wygląd, wzrost i twarz, osamotnionego człowieka, jak chodzi nieokreślonym krokiem, w nieokreślonej odległości, całkowicie nieokreślony. Jeden człowiek, który się porusza na końcu ulicy, bez dźwięku i bez widocznych ruchów, człowiek, którego śledzę bezmyślnie, jak jakiegoś robaka, nie odnosząc się do niego,

tylko go zauważając, notując jego obecność, wbrew jego obecności całkiem sama na pustej, kipiącej ulicy, sama pod słońcem, tak bardzo daleka i nieokreślona w drganiach światła, jakbym nie była istotą ludzką.

W tym momencie z przepastnej głębi, z samych ziemskich wnętrzności, jak zwierzę zbierające się do ataku, zawyła syrena, wyginając coraz bardziej swoje plecy w pałąk, aż do wysokości kościelnej wieży, wyrównując swój początkowo straszny ryk do groźnego stałego warczenia, do metalicznego tonu, który unosi się cały czas na tej samej wysokości, nad głową, nie przestrzegając ciszy, tylko ją zamykając od góry, przestrzennie, jak pokrywka przykrywająca wrzący kociołek ciszy, w którym wszystkie pozostałe dźwięki zachowały swoją wartość i osobiste stosunki. Wbrew wyciu syreny mogłam słyszeć szelest mojej sukni.

Nie spodziewałam się alarmu o tej porze dnia, ponieważ samoloty, Bóg wie czemu, nie przylatywały po obiedzie; być może i piloci jedzą obiad, może i śmierć je obiad, i jak nie było alarmu do dwunastej, tak wszystko zazwyczaj trwało do wieczora. A teraz były dwie godziny po południu i ja dopiero jadłam obiad, i było gorąco, i nie miałam woli chronić się, nie miałam siły biec, i kiedy syrena wyrwała mnie z wewnątrz, jak szpony jakiegoś zwierzęcia, poczułam tylko niesamowite wycieńczenie i chęć, by paść byle gdzie, byle gdzie, pośrodku drogi i niech spada co chce. Już miałam dosyć alarmów i uciekania, dosyć chowania się przed niewidocznymi bombami, które mnie szukają, chciałam być już całkowicie spokojna, położyć się i zawinąć w kłębek na dnie wydarzeń, w rogu wojny, nie chciałam już biegać pod jaskrawym słońcem, chować w jakimś nieznanym, bezsensownym celu, z powodu bomb, które w każdym momencie mogły spaść; i tak często padały w jakimkolwiek miejscu w tym mieście.

Ten człowiek wciąż chodził w końcu ulicy, z wyglądu tak samo spokojny, jak spokojny był wcześniej. Teraz na ulicy było więcej ruchu, zamieszania, niejasnych gestów, ale cały czas bez dźwięku, w podstępnie gęstej ciszy, która w wyciu syreny lepliwie trzymała ulicę jak tunel ze stojącym powietrzem. Ktoś za moimi plecami niesłyszalnie przebiegł drogę. Po tym z poprzecznej ulicy wyjechał wóz, obok którego biegł jakiś wieśniak rozprzegający przestraszonego konia, przeklinając niemymi przekleństwami. W jednym domu z trzaskiem otworzyło się okno i ktoś coś krzyczał. Wiedziałam, że krzyczał, bo widziałam zmaterializowany gęsty dźwięk, który przenika mnie ołowianym ciężarem, duszącym; opada gdzieś w tle, chociaż niczego i tak nie słysząc. Wszystko to działo się za mną, jak na płótnie ekranu, którym okryłam plecy. Przede mną był tylko człowiek, który idzie mi na powitanie, ciemny punkt.

W tym momencie jakby niepodziewanie przebiła się dziura w niemej barierze, którą do teraz byliśmy izolowani od nieba; można było usłyszeć ciężkie, ochryple burczenie oddalonych samolotów. Sądząc po dźwięku musi być ich dużo. Ten człowiek cały czas spokojnie szedł ulicą i zbliżał się. Czy on myśli zostać jedynym na ulicy? pomyślałam w tej chwili. Był taki sam i szedł w moją stronę. Ale zanim doszedł do mnie wystarczająco blisko, bym mogła rozpoznać

rysy jego twarzy, bym mogła wykonać ruch, skręciłam do jednego wejścia, instynktownie, przeciw swojej woli, czując mdłości, tracąc przytomność, czując potrzebę zwymiotowania.

Wpadłam do pierwszego domu po lewej. Poszłam prosto korytarzem, a potem małymi schodkami dotarłam do podwórza. Podwórze było małe i zamknięte z trzech stron frontami domów, pranie suszyło się na balkonach od strony kuchni. Z czwartej strony był wyschnięty, żółty ogród, w którym nie było nikogo. Obróciłam się pod słońcem, stojąc na środku podwórka, czując, że zaraz padnę. Spojrzałam w stronę domu, przez który przeszłam. Przed domem stało kilka osób, których za pierwszym razem nie zauważyłam, których nawet teraz nie mogłam rozpoznać, ponieważ byli schowani przy samej ścianie, w półmetrowym cieniu, może przed słońcem, może przed samolotami.

Zmęczenie mnie tak przygniatało, że ledwo zebrałam siły, by wydobyć głos. "Czy jest tu jakieś schronienie? Proszę was. Schronienie. Mogę...?" pytałam i przeszłam w ich kierunku te dwa, trzy ciężkie kroki, ledwo powłócząc nogami, kurcząc mięśniami wywrócony żołądek. Nic mi nie odpowiedzieli, nawet na mnie nie spojrzeli. Zwątpiłam w swoje istnienie. "No, teraz je tam widzę" powiedział jeden głos. "Szybko, niech pani podejdzie bliżej, w cień, żeby pani nie zauważył" powiedział drugi, żeński głos. To było skierowane do mnie, która stałam wystawiona niebu jak obrzędowa ofiara, bez siły i woli, by się bronić. Głupota, myślałam, nie będą chyba rzucać bomby specjalnie dla mnie, mimo że i tak mnie widzi. Głupota, to wszystko jest głupotą, głupotą jest ruszać się. Niczego nie powiedziałam. Nie mogłam się schować. "Szybko, szybko, kiedy pani mówię, niech pani przyjdzie bliżej", powiedziała kobieta ponownie, bardziej nerwowo. Jej głos dał mi siłę, której mi brakowało. Podeszłam i stałam razem z nimi, w cieniu. Nagle zaczęło być mi trochę łatwiej.

Nikt nic nie mówił. Patrzyli w niebo. "teraz i ja je widzę", powiedziała kobieta. Stojąc w chłodzie, widziałam, jak powietrze drga; całe niebo było pełne srebrzystych drgań. Mogły to być i samoloty, i systemy antyradarowe, albo po prostu drgania gorąca; ja niczego nie widziałam. Byłam śmiertelnie zmęczona i nie mogłam utrzymać wzorku skierowanego w niebo.

Obok mnie było trzech mężczyzn, jedna kobieta i dwójka dzieci. Starsze mogło mieć około siedem lat, młodsze około pięć. Ale wszyscy byliśmy jednakowi przed niebem. "Czy mogłabym gdzieś dostać szklankę wody?" pytałam. Patrzyłam wokół, szukając wzrokiem schronienia. Nikt mi nie odpowiedział. Wszyscy uporczywie patrzyli w niebo, jakby wiedza o tym, co się dzieje na górze, mogła się przydać.

Wtedy usłyszałam w korytarzu równe, pewne kroki. To mógł być tylko ten człowiek z końca ulicy. Zrozumiałam wyraźnie, że to może być tylko on, chociaż nie było ku temu żadnego powodu. Było mi miło, że przychodzi. Teraz już nie będzie taki samotny, zostawiony na strasznej pustej ulicy, pod samolotami. A i wydawało mi się, że on będzie jedyną znaną osobą pomiędzy pozostałymi ludźmi. Teraz będę mogła go dokładnie rozpoznać, będę miała kogoś. Pomyślałam, że może mnie obronić od tej gęstej, ciężkiej atmosfery, która cała drży od

grzmienia nieba usłanego samolotami. Wiedziałam, bez powodu, że ten człowiek będzie inny od ludzi, między którymi się przypadkowo znalazłam, od ludzi, którzy mnie nie rozpoznają, którzy patrzą w niebo, milczą i nie rozpoznają mnie.

"Idziemy", powiedział jedna z osób, które stały obok mnie. "Szybko, szybko." Otworzyła drzwi piwnicy, które znajdowały się za moimi plecami. Pozostali panicznie się obrócili i poszli za nim jak stado. Było mi żal, że nie poczekamy na mojego człowieka, ale gdy wszyscy weszli, to i ja musiałam wejść. Pierwszy człowiek zapalił światło: gołą żarówkę, która zwisała z wilgotnego stropu. Światło było wilgotne i pleśniowo szare jak i cała piwnica, twarze ludzi były chorobliwie blade. Piwnica była wąska i długa. W niej były dwie beczki położone wzdłuż dwóch belek, a potem kilka skrzyń ułożonych aż do sufitu i mnóstwo brudnych worków, spośród których część była pełna; były w rogu z łopatami i kilofami. Usiadłam na jedną z tych belek. Drugi mężczyzna został w drzwiach, za nami, i słyszałam z tamtego kierunku jego głos, który mówi: "Przyjdźcie do nas". Powiedział jeszcze coś niezrozumiale. Z dołu, z piwnicy gdzie siedziałam, na szczycie schodów było widać tylko nogi. Być może przybysz coś odpowiedział, ale tego nie dało się zrozumieć, ponieważ syrena znowu zaczęła wyć. Teraz jej dźwięk był histeryczny, wykrzywiony; zawyła jak zdziczały pies. Wydawało się, że jakiś ogromny głodny szczur siedzi na workach w mrocznym kącie piwnicy i rozpaczliwie wyje. Potem przestał, jakby został zdekapitowany. "Wygląda na to, że tym razem lecą na nas", słyszało się, gdy ktoś szeptał w ciszy.

Cisza trwała tylko chwilę, tylko tyle, żeby ją zauważyć. Poczułam nagłe, kurczące napięcie, jak niespodziewaną przepaść oczekiwania, która się otworzyła we mnie samej, wewnątrz, i wtedy, z pierwszymi bombami, które zabójczo, zwierzęco zagwizdały w nagłym crescendo, i wtedy, po krótkiej beznadziejnej przerwie, spadły; poczułam jak we mnie zakipiały krzyki, wycia, łamania, trzaski, wstrząs, który spowodował, że serce skoczyło mi do gardła, przybił mnie do ściany, przycisnął do podłogi. I potem jeszcze raz, jeszcze raz. Bomby spadały cały czas, rozdierając moje wnętrza, szarpiąc moje bębni, targając mną po podłodze jak workiem, przytulając mnie do dębowej beczki jak bluszcz, którego ktoś próbuje zerwać.

Wtedy zgasło światło, położyłam się na ziemi, na mokrą i brudną ziemię piwnicy bez wykończonej podłogi, wcisnąwszy twarz pomiędzy beczkę a podłogę, z wplecionymi we włosy palcami, zanurzając kolana w błoto tak, jakbym chciała się okopać. Jeszcze skrawkiem świadomości zauważyłam, jak mężczyzna który stał w drzwiach, zszedł na dół i przeszedł obok mnie, krzycząc w ciemność: "Tu jestem, nie bójcie się"; chyba swoim dzieciom. "Zejdźcie na dół, zejdźcie na dół i zamknijcie już te drzwi" wrzeszczała kobieta, która odeszła do końca piwnicy, żeby być jak najdalej. Nie byłam w stanie rozróżnić, do kogo ona to krzyczy, ponieważ ponownie zagwizdały, ponownie spadły bomby, i ja się rozłożyłam na ziemi, przykleiłam się do drgającej ściany.

Wtedy w mroku poczułam, że ktoś przychodzi. To mógł być tylko człowiek z ulicy. Było mi miło, że to jest on i że przychodzi do mnie. Podniosłam się i usiadłam, żeby na niego

poczekać. Wiedziałam, że przyjdzie do mnie. Musiał do mnie przyjść. Był całkowity mrok i nie widziałam go ani teraz, ani kiedykolwiek wcześniej, ale wiedziałam, że przychodzi. "Niech się pani nie boi, tu jestem" powiedział, dotknąwszy mojej ręki, żeby się zorientować; usiadł. "Tutaj jestem. Nic nie mogło się mi stać w drzwiach. Nic więcej niż tutaj." On na pewno myślał, że to ja krzyczałam. "Czy jest ich dużo?" pytałam, jak najspokojniej mogłam, mając na myśli samoloty. "Słucham?" powiedział obracając się do mnie w mroku; poczułam jego oddech. "Czy jest ich dużo?" pytałam ponownie. "Nie wiem. Nie, myślę że nie" odpowiedział. "To obojętnie ilekolwiek ich jest, przejdą." Przemyślanie czekał na przerwę pomiędzy eksplozjami, żebym zrozumiała co mówi.

Po jakimś czasie powiedział: "Niech pani coś powie. Podoba mi się pani głos." Wtedy znowu spadła seria bomb, groźnie świszcząca, jakby się stopniowo zbliżały, i w ciszy pomiędzy świstem i eksplozjami chwyciłam go za rękę. I tak znów minął jakiś czas. "Która może być godzina?" pytałam. "Nie mogę zobaczyć zegarka", powiedział, "czy ma pani może zapałki?" Wtedy odwrócił się do wnętrza piwnicy. "Czy ktoś ma zapałki?" pytał głośniej. "Niech pan tu nie pali", krzyknął ktoś z mroku, starając się zmienić strach w złość. Wtedy znowu spadły bomby. "To już chyba trwa całą godzinę", powiedziałam. "Nie, nie tyle", powiedział on. "To się tylko wydaje." Teraz bomby hałasowały prawie że nieprzerwanie, wymieszane z grzotem obrony przeciwlotniczej, terkotem dział przeciwlotniczych. Trzęsłam się, sama z siebie lub razem z ziemią. "Kiedy to się skończy?", pytałam w mrok. On nie odpowiedział. Położyłam głowę na jego ramieniu i on mnie objął, i przytulił. "Kiedy to się skończy?", ponowiłam pytanie w wyjątkowej ciemności jego ramion.

Jedno dziecko znenacka zaczęło płakać. "Chryste Boże", powiedziała kobieta, "teraz jeszcze ty." "Modli się", warknął ojciec. "Powiedz mu, żeby się modlił." Bomby nieprzerwanie uderzały i wydawało się, że są coraz bliżej. Ja się mocniej przytuliłam do niego, chwyciłam rękę, którą mnie objął, przyciągnęłam ją do ust i ugryzłam ją, żeby nie krzyczeć. "Nie bój się", wyszeptał, przysuwając głowę całkowicie do mojego ucha, blisko. Jego głos był głębszy i ciemniejszy niż wcześniej. Wtuliłam głowę w zagłębienie pomiędzy jego brodą a ramionami i mocno go przytuliłam. Teraz to nie był tylko strach. Siedzieliśmy przytuleni, patrząc w mrok, gdzie jeden drugiego próbował wyczuć jak ślepcy.

Po jakimś czasie próbowałam palcami lewej ręki wybadać jego twarz, żebym mogła go sobie wyobrazić. On niczego nie mówił, nie bronił się przed moim dotykiem, w ogóle się nie ruszył. To był on. Nie, teraz to już w ogóle nie był mój strach. To był jego zapach, jego głos, czucie jego skóry w ciemności. "Jak delikatnie", powiedział cicho, nie ruszając się. Przesunęłam usta po skórze jego twarzy. "Biedna moja, przestraszona mała", powiedział. "Już nie", wyszeptalam mu. Prawą ręką przycisnął moją głowę do piersi, wpląawszy palce w moje włosy.

Poczułam ulgę. Myślałam, że leżymy w łóżku, w mroku, i że jesteśmy przyjemnie wyczerpani sobą, i że nie chce nam się mówić, i że nie chce się nam jeszcze spać, lecz patrzymy w ciepły

mrok, dotykając się nagimi ciałami, nie czując pobudzenia, lecz tylko spokój, odprężenie, przyjemny dotyk skóry na biodrach. Myślałam, że jesteśmy tu już kilka dni lub miesięcy i że powiedzieliśmy wszystko, co tylko wiedzieliśmy, i że teraz tylko milczymy, leżąc jedno obok drugiego, słuchając dalekiego grzmienia, które nie może nam zaszkodzić.

"To potrwa jeszcze długo", powiedziałam, przytulając go. "Kto to wie", powiedział, przesuwając rękę w moich włosach, teraz naelektryzowanych. "Jak wyglądasz", pytałam go. "Co?", nie od razu się zorientował. A chwilę później: "Jak wyglądam? Teraz nawet sam nie wiem." Przytuliłam go z powodu tej odpowiedzi, nie chciałam, żeby się opisywał. Nie wiedziałam, jak wygląda. Nie mogłam go sobie wyobrazić. Nie wiedziałam, ile ma lat, czy jest brzydki, czy jest kaleką, jaki ma kolor oczu czy włosów. Wyobrażanie sobie tego mnie przerażało. Żebym tylko mogła go zobaczyć, myślałam, żebym go chociaż trochę mogła zobaczyć. Wiedziałam, że go tak kocham w mroku, że mi się podoba jego głos, że czuję jego dotyk, że mi się podoba jego zapach. W mroku, w tym krótkotrwałym mroku. Ale on mógł być stary i brzydki, i obrzydliwy, czy w ogóle coś innego. Żebym mogła chociaż w blasku go zobaczyć. "To jest najdłuższe bombardowanie od czasu, gdy zaczęła się wojna", powiedział ktoś z ciemności. Tam paliła się zapałka i ten sam głos powiedział, że jest trzecia trzydzieści. "Ja myślałam, że już od dawna jest noc", powiedziałam, a wtedy, nie wiem dlaczego, powtórzyłam: "Że już od dawna jest noc."

Że jest od dawna noc i leżymy przytuleni, wiedząc, że się kochamy, akceptując od dawna jedno drugie, czując, że nie był w przeszłości popełniony żaden błąd, pewni, że tak zostanie do nieokreślonego końca. On mnie głaskał po włosach i szyi. "Ile masz lat?", pytał mnie delikatnie. Wetknęłam nos w jego pachę i powiedziałam: "Dwadzieścia trzy." Sama nie wiedziałam, dlaczego mi wstyd to powiedzieć, ale było mi wstyd i chciałam, żeby on szybko coś powiedział; bardzo się wstydziłam, jakbym odkryła jakąś swoją niestosowną tajemnicę, tuląc go mocno, namiętnie go głaszcząc po twarzy, tylko po to by coś powiedział, tylko po to żeby chociaż trochę powiedział, żeby ocenił. Ponieważ nie miałam siły, ja nie odważyłam się go wypytywać, żebym nie dowiedziała się tego, co muszę, żebym odwołała przyjscie światła.

Nie wiedziałam niczego więcej niż wcześniej i nie chciałam wiedzieć czegokolwiek więcej. Nie chcę wiedzieć. Chcę tak zostać, schylona ku niemu i chcę, by to trwało wiecznie, żeby zawsze spadały bomby i żeby zawsze był mrok. Absolutnie głęboki mrok, w którym starcy stają się młodzi, w którym wszystko jest inne, w którym i sama jestem inna, przytulając innego człowieka. Mrok w którym dziwacy są piękni i kalecy zdrowieją. Mrok który nas przeobraża, który jest nam potrzebny jak jedzenie, mrok który nas zbliża i nie zostawia samych. Mrok który jest wszechobecny i wieczny, który nas chroni, nigdy nas nie zostawiając, nie wydający nas, który nam przynosi obrazy bez kształtu, ludzi bez wieku i nas samych innych, chronionych ciepłym objęciem, wyjątkowym kawałkiem ciemności, mrok który nas odnawia i zmienia, który nam daje oblicza i oczy jakich chcemy, z miłością. Chciałam oślepnąć i zostać na zawsze ślepa. Było mi obojętne, co jest prawdą. Chciałam, żeby jego ręce mnie uspokoily, mnie ślepa.